

## Połknij to

~MATTHEW~

Mattie zerwał się z łóżka, rozrzucając kołdrę. Jego oddech z przyspieszonego powoli zwalniał coraz bardziej, żeby znowu zacząć drżeć. Poczuł znajomy ból, gdy znamię w kształcie irysa zaczęło świecić i pulsować, jak za każdym razem, gdy się budził z Wysysania, który po chwili przygaśł. Wiedząc, że już nie zaśnie, a za dwie godziny musi znowu wstać do szkoły, podniósł się i pogramolił do kuchni. Zgarnął jeszcze szybko okulary, bo jakby się walnął po drodze w piszczel, to chyba by już tylko usiadł i zaczął płakać. Przed oczami cały czas miał obrazy namalowane przez jego umysł parę minut temu. Starając się o nich zapomnieć, zjadł pół tabliczki czekolady i plaster sera żółtego, po czym popił sokiem jabłkowym. Jak na czwartą w nocy wybór godny podziwu, trzeba przyznać.

Przysiadł na krzesło kuchennym i zapatrzył się w korytarz przed nim. Znowu zobaczył tam małego Chłopczyka, Posłańca, wpatrującego się w niego zwykłymi, ale zdystansowanymi, oczami. Złapał się za skroń, gdy minutę później poczuł myśli wyciekające i wlewające się z i do jego podświadomości potężnymi falami. Chłopczyk przed nim zrobił to samo. Widok ten był zatem dosyć śmieszny; rozczochrana, siedząca po turecku na krzesle, na wpół śpiąca sylwetka przyciskająca palce do brwi ukrytych za okularami na smukłej, bladej twarzy. Trzy metry od niej – mała istotka w za dużej koszulce i za małym dresie, z zaczesaną na bok grzywką, układająca ręce w tym samym geście.

*Mattie wsysa złe sny i ból ludzi. Chłopczyk, Posłaniec, mu je podaje. Ludzie łatwiej przełożą wszystkie swoje nieszczęścia, szczególnie te ukryte głęboko, głęboko w mrocznych otchłaniach ludzkiej podświadomości, dziecku. Ono nie ocenia.*

*Mattie ma już dość. Mattie jest zmęczony. Ale taki właśnie jest już świat. Tak bezduszny, a jednak pełen tak wielu uczuć. Jeśli wciąż będziesz przeżywać gniew, w końcu cię zadławi. Dlatego ten szesnastolatek robi to za cały świat. Połyka.*

\*\*\*

– Panie Linton, czy jest pan z nami? – Mattie wrócił na Ziemię ze swojego przytułku, ukrytego w otchłaniach jego umysłu i niechcący spojrzął na tablicę po drugiej stronie klasy.

– Oczywiście, tak, już – w ostatniej chwili przełknął cisnące się na usta niewyspane „niestety”.

– Niesamowicie, a więc rozumiem, że może pan powiedzieć mi, co zrobiłby pan w takiej oto sytuacji – wygdała nauczyciel, wskazując czymś, co bardzo prawdopodobnie w poprzednim życiu było kijem od mopa, na tablicę. – No ale ja bardzo proszę się tak nie gapić, tylko szybko rozwiązać ten problem! – dodał po chwili, zauważając wahanie Mattiego.

Chłopak szybko wstał i pogramolił się do tablicy, starając skulić się w sobie i choć na chwilę zniknąć z pola laserowego klasy. Choć gdy tak popatrzył po tych bezimiennych twarzach, równie pełnych niechęci jak jego, to aż mu się przyjemniej zrobiło. Nagryzmołił parę liczb, przepisał parę liter i stworzył coś na kształt wzoru skróconego mnożenia, a przynajmniej taką miał nadzieję.

– No nie, nie, nie! Takiej matematyki nie uprawiamy na tej Ziemi, drogi panie Linton! – z przerażeniem w głosie wykrzyknął nauczyciel, po czym zwrócił się do klasy z pytaniem o poprawne rozwiązanie. Mattie, korzystając z okazji, uciekł szybko do swojej ławki. Przez przypadek nawiązał kontakt wzrokowy z wychowawcą, więc szybko opuścił wzrok, narzucił kaptur i poddał się swojej senności.

Ten wątpliwej jakości odpoczynek został niedługo później zakłócony po raz kolejny przez dzwonek na przerwę. Chłopak wstał, zgarnął swoje rzeczy i powłókł się do drzwi.

– Panie Linton, bardzo proszę pana na chwilę do mnie! – wykrzyknął za nim nauczyciel. Wezwany westchnął i powoli podszedł do biurka wychowawcy.

– Tak?

– Nie do końca wiem, jak spytać w sposób nieintryzujący, a więc... hm – zawahał się dorosły. – Spytam wprost – postanowił. – Czy... no cóż, czy u pana w domu, w rodzinie wszystko dobrze? Czy... nie czuje pan potrzeby rozmowy, skontaktowania się z... no cóż, ze mną lub z psychologiem szkolnym? – kolejna chwila zawahania. – Pytam, gdyż... no cóż, mówiąc dość łagodnie, notorycznie chodzi pan niewyspany, jakby... no cóż, nieskontaktowany do końca z rzeczywistością, nigdy nie widziałem pana zadającego się z, no cóż, kimkolwiek w klasie. Proszę zrozumieć, że pytam, chcąc dla moich uczniów wszystkiego, co najlepsze – nauczyciel mówił z coraz większym przekonaniem, brakowało tylko na końcu ikonicznego podziękowania za przyście na jego TedTalk.

Mattie próbował ukryć swoje niedowierzanie, a może to tak naprawdę był gniew. Tak, to była złość, na pewno. Przepalająca go, piekąca go łzami w kącikach oczu, szumiąca mu w głowie. Wszelkie myśli o dobrych intencjach nauczyciela przestały w ogóle zajmować

podświadomość chłopaka, próbującego zrozumieć swoim dojrzałym, zbyt szybko dojrzałym, mrocznym, ale i smutnym umysłem, jak ten... ten *dorosły* mógł coś takiego powiedzieć.

Bycie Wysysaczem nie było łatwe ani możliwe do ukrycia. Wszystkie dane Mattiego na ten temat pojawiły się w serwerach urzędów i instytucji państwowych, gdy skończył zaledwie czternaście lat. Gdy na szyi pojawił się ten piękny, pełen bólu irys. Gdy do jego rodziców przyszły listy, papierowe, tradycyjne listy z zasadami zachowania wobec Wysysaczy w rodzinie. Gdy okazało się, że dla Mattiego nie ma więcej miejsca w tym domu, wśród tych ludzi. Gdy świat tego chłopaka zapadł się wraz z nim i nigdy już nie podniósł.

Nie było tajemnicą, że Wysysacze od piętnastego roku życia mieszkali sami, utrzymywani przez comiesięczną „wypłatę” od rządu. Tak było lepiej. Dla ich rodzin, znajomych, dla nich samych. Samotność to w końcu najlepszy lek na ból, strach i smutek, prawda? Ostatecznie, czego się bać, gdy jest się samym, samusieńkim? Gdy nie ma się nic, nie ma się też nic do stracenia. Gdy nie ma się nic do stracenia, nie ma się o co bać. Jest się niezniszczalnym. Przynajmniej tak wmawiały rodzicom nastoletnich Wysysaczy wesołe ulotki schowane w listach, mówiące o wspaniałej przyszłości ich dzieci jako zbawicieli ludzkości.

Oczywiście, że cała placówka szkolna wiedziała, że jest Wysysaczem. Wszyscy wiedzieli, jak to wyglądało. Nauczyciele szczególnie, by mogli wspaniałomyślnie wpisać w dzienniku „nieobecność z przyczyn wyższych”, jak to wspaniałomyślne rządy świata zaproponowały, gdyby uśmiechnięty, zrelaksowany Mattie chciał zasłużenie odpocząć. Siedem błogich, darmowych dni wolnego na rok dla wszystkich, podkreślone, pogrubione i podświetlone „wszystkich” Wysysaczy, których wciąż obejmował obowiązek szkolny. Reklama? Piękna, idealna, kolorowa.

W trakcie nauczycielskiego monologu Mattiemu w głowie zaczęły odgrywać się ostatnie dwa, długie lata samotności. Czy u niego w domu jest wszystko dobrze się pyta. CZY U NIEGO W DOMU JEST WSZYSTKO DOBRZE?! Jasne. Perfekcyjnie. Nawet kurcze ostatnio zostały starte. Wszystko jest cholernie per-fek-cyj-ne.

Mattie prychnął. Nauczyciel westchnął.

– Panie Linton... jakby to ująć... no cóż, wiem, że czasem w życiu bywa ciężko. Szczególnie gdy posiada się tak niesamowity dar jak pan. Jednak chcę zapewnić pana, że nie jest pan w tym sam. Cały świat na pana liczy, cały świat jest panu wdzięczny. Niech pan o tym pamięta. Acha! A jutro... no cóż, panie Linton, niech pan zostanie w domu, a ja panu wpiszę NZPW. Zgoda? – Uśmiechnął się nauczyciel, nieświadomy łez ukrytych pod kapturem, i poklepał chłopaka po ramieniu. – Do zobaczenia pojutrze, Matthew Linton. Świat

pana uwielbia! – Westchnął nauczyciel i prawie wypchnął zdeorientowanego Mattiego za drzwi klasy.

Świat go uwielbia? Aha, jasne. Świat nie dbał o to, czy płonie, czy płacze, czy krzyczy, dopóki było to w jego interesie. Może Mattie powinien zacząć to odwzajemniać. W końcu to on miał moc nad błogim snem tego społeczeństwa.

\*\*\*

Chłopak wszedł do mieszkania, ściągnął buty i przysiadł na podłodze w niewielkim saloniku, który po godzinach dorabiał jako jego sypialnia, koło starego, wytartego stolika kawowego. Był drewniany, porządnie oszlifowany czasem, który spędził w jakimś warsztacie, ale był jego i miał wysoką wartość emocjonalną, nawet jeśli nie był źródłem dochodu, którego Mattie wciąż desperacko szukał. Choć dostawał pieniądze z rządu na mieszkanie i podstawowe potrzeby, dobrze byłoby mieć też parę dodatkowych groszy. Mało jednak było miejsc pracy, które przyjmowały Wysysaczy, choćby ze względów czysto ekonomicznych – nie było opłacalne zatrudniać osoby chronicznie zmęczonej, niechcącej istnieć na tej Ziemi, niepełnoletniej, bez wykształcenia i jakby tego było mało, nieobecnej połowę czasu. Czy chroniczne zmęczenie zostało już wspomniane?

Nastolatek wziął do ręki pilot i zapatrzył się w ekran przed sobą. Był on idealnie na poziomie jego oczu. Mattie zawsze powtarzał (i wierzył w to mocno), że by hierarchia władzy w tym domostwie była utrzymana, nic, zwłaszcza z opanowaną mocą elektryczności, nie powinno znajdować się nad władcą. Dlatego telewizor leżał na podłodze.

Musiał jeszcze zrobić zadanie domowe, ale kto by się tym przejmował? I tak jutro miał dostać NZPW. Po chwili kontemplacji nad swoimi wyborami dietetycznymi i edukacyjnymi Mattie ze zrezygnowaniem wrócił do telewizora. Trzeba jednak wiedzieć, że nastolatek ten mógł popisać się olimpijsko niską zdolnością do koncentracji dłuższej niż czas smażenia jednej strony naleśnika. Niedługo później przerzucił się więc na Spotify i pogramolił do kuchni. Z jego ukochaną playlistą „slow dancing and in love, but oh it’s apocalypse” w tle zabrał się do prowizorycznego obiadu.

Jego życie było rekordowo wolne i przerażająco puste, zauważył to wiele razy. Dzisiaj przynajmniej mógł się porządnie wyspać, bo czas Katharsis, Wysysania, był dopiero następnej nocy. No, chyba że nagle w polu, które obejmowała jego drobna dusza rozpocznie się masowe ludobójstwo albo zaraza. Wtedy wszystkie jego sny i koszmary pójdą w cholerę i nie zmruży oka przez kolejny błogi tydzień pochłaniania bólu pokoleń.

Jego nauczyciel, idealnie na czas, nieco zmarnował jego ukochane NZPW, bo ono – według zaleceń na ulotce (lepiej nie ryzykować swojego życia i zdrowia) – najlepiej było pobierać po czasie Katharsis. Mattie lubił sobie z tego żartować, ale taka była prawda – to przez generalną publikę było traktowane jak tabletki na wszystkie jego zmartwienia. Nauczyciel, jak widać, myślał podobnie, jak to na kulturę masową tego cyrku przystało. *No cóż*, miało być dobrze, a wyszło jak zawsze.

\*\*\*

Dwie noce później Mattie spadał. Ciemno, ciemniej, błysk wypalający oczy i znów ciemność, osamotniona, straszna, ale kojąca zarazem. I powtórka. Tym razem jasność, mniejsza, pewnie dziecięca, bo rozproszona, a potem znowu ciemność. I seria jasnych błysków, kłujących każdą część jego ciała. A potem potwór, nie, cały pokój potworów. Pewnie jakiś koszmar. A potem łyż i ucisk w klatce piersiowej. I boli, ciągnie, rwie i szarpie. Chyba ktoś kogoś stracił. I znowu spadek w ciemność, i znowu błyski. Boli, boli, piecze, drapie, swędzi, łupie. A potem plusk, krzyk, podmuch powietrza i znów ból, pisk w uchu, ból oka, a może już boli cała głowa. I potem ciemność. I Mattie leci, leci i potem spada, no i spadł, prosto do swojego łóżka, na miękkie poduszki.

Gdzieś na korytarzu pewnie czeka Posłaniec. Jeszcze chwilę chłopak siedzi na łóżku, a potem wstaje i chwiejnie idzie w głąb mieszkania, na spotkanie z Chłopcem z Nieszczęściami.

\*\*\*

Szkolny dzwonek, w przebraniu broni masowej przeciwko szkolnej społeczności, bił w uszach każdego obecnego na korytarzu o ósmej rano tego mroźnego, czwartkowego poranka. Gong nie pomaga na migreny Mattiego, no ale taka jego robota. No i rutyna, którą Mattie może wyklepać we śnie. Najpierw siedem schodków w dół i do szatni. Potem schody rodem z piekła, dokładnie czterdzieści i jeden próg, gnające do sali matematycznej. I galop do miłości Mattiego, ostatniej ławki pod oknem. Delikatne ugięcie pleców dające znać plecakowi, że już może z gracją, lub też jej brakiem, zsunąć się na podłogę. Odsunięcie krzesła, zasunięcie i już można względnie wygodnie usadowić się zakapturzoną głową na ławce. Jedyne, co jeszcze przeszkadzało chłopakowi, to irytacja i lekkie zdenerwowanie białą bluzą, którą miał na sobie. Wygrzebana z czarnej dziury jego mieszkania, czyli stert prania, jedyna ludzko pachnąca i wyglądająca, niesie za sobą zagrożenie – jeśli ktoś w klasie poczułby ból, znamię irysa na jego ramieniu zaczęłoby świecić i pulsować, co przez jasną bluzę będzie widoczne. I choć wszyscy niby to wiedzą, nikt nie chce zobaczyć pokazu Wysysania na żywo.

A jako że wszechświat pewnego dnia tupnął nogą i postanowił sprawić, że życie Mattiego jest drogą przez mękę, chłopak miał w klasie masochistę. Zazwyczaj w ciągu dnia Mattie Wessie raz czy dwa. Ale siódmy raz w przeciągu 20 minut to stanowcza przesada. Kogoś ewidentnie bawiły fioletowe promyki przeciekające przez rękaw chłopaka i jego grymasy. Z drugiej strony – zrozumiąle, siedzieli na matmie. Mattie westchnął i podniósł wzrok na klasę, każdy jednak wyglądał na zajętego swoimi problemami. Przy okazji przesunął wzrokiem po tablicy, pokręcił głową i poszedł spać. Wiesz, że nie jest promiennie, kiedy w szkole odpoczywasz bardziej niż we własnym łóżku.

\*\*\*

Kolejne dwadzieścia minut i sześć błysków znamienia później Mattie był coraz bardziej poirytowany. Pięć minut do końca lekcji, więc miłośnik ostatniej ławki pod oknem był już w pełnej gotowości do wymarszu. Gdy zadzwonił dzwonek, chłopak wraz z potężnym wydechem napiął mięśnie i podniósł się z krzesła. WF zaliczony. Schylił się po plecak, zarzucił go na ramię i wyruszył, robiąc krok i zderzając się ze ścianą. A ponieważ był na tyle przytomny, że był pewny, że nie poszedł w kierunku przeciwnym niż zamierzony, coś innego stało na jego drodze.

– Sorry, sorry, przypadkiem – wymamrotał do intruza i spróbował go obejść. Koleś z falowaną grzywką kończącą się w oczach pewnie nie zauważył, że stoi w przejściu, więc stał dalej. – Hej, możesz się... czekaj, przesunij się trochę, chcę przejść – powiedział trochę głośniejszym głosem Mattie, próbując zwrócić na siebie uwagę. Kudłacz wreszcie spojrzał na Mattiego i lekko przesunął się na lewo. Wysysacz przeszedł więc, ciągnąc nogi po sali, prosto do wyjścia. Była ściana-nie-ściana poczłapał za nim. Gdy tylko przekroczyli próg sali, Kudłacz złapał Mattiego za rękę. Zanim chłopak mógł otrząsnąć się z szoku, został przeciągnięty kawałek w bok korytarza, by nie zawadzać w przepływie mas uczniowskich.

– Hej, no więc sorry, że cię tak zaciągnąłem, ale ty jesteś Wysysaczem, no nie? – zapytał Kudłacz, a drugi chłopak tylko się na niego patrzył, bo nikt nigdy nie zapytał go o to w sposób tak normalny, jakby pytał „kartą czy gotówką?”.

– Ehh... – zaczął elokwentnie Mattie, ale szybko się pozbierał. – Tak.

– Acha, a jak to działa? – zapytał znów najnormalniej w świecie Kudłacz.

– Normalnie? Nie wiem, śpię, Wysysam ból, wstaję, potem ja boleję przez życie i tak w kółko. Ale pochłaniam ból jak śpię.

– Acha, no a jak to jest?

- Co jak jest?
- No wsysanie.
- Wysysanie – poprawił odruchowo Mattie. – Boli. Chyba.
- Chyba?
- No skąd mam wiedzieć czy pamiętać, przecież właśnie powiedziałem ci, że wtedy śpię.
- Rzeczywiście, przepraszam.
- Za co?
- Choćby zaczynając od przesłuchiwania cię, po to, że nawet nie wiem różnicy między „wsysaniem” a „Wysysaniem”.
- „Nie znam”. Nie szkodzi – poprawił Mattie.
- Czego nie znasz? – zapytał wyraźnie zbity z tropu Kudłacz.
- Nie, geniuszu, chodziło mi o to, że mówi się „nie znam różnicy”, a nie „nie wiem różnicy” – powiedział nieco zirytowany już Mattie. Chciał już po prostu wrócić do domu.
- Racja, a możesz Wysysać też jak nie śpisz?
- Co? A, no raczej tak. Jeśli jest potrzeba.
- A kiedy jest potrzeba?
- Co ty z Urzędu Skarbowego jesteś, że tak mnie przesłuchujesz? – odwarknął Mattie.
- Nie, przepraszam, racja. Nie powinienem był tak, sorry.
- Jest okej. Potrzeba jest, jak kogoś boli – mruknął chłopak, nieco speszony, próbując się uspokoić. W końcu intruz nic złego mu nie robił, a zostawił między nimi na tyle dużo miejsca, że Mattie mógł w każdej chwili swobodnie zejść ze sceny.
- Czyli, mówiąc całkiem hipotetycznie, gdybym przez całą lekcję lekko się szczypał, tak w imię nauki, to Wysysałbyś?

Mattie gapił się na niego przez chwilę z niedowierzaniem wymalowanym na twarzy, które po chwili płynnie przemieniło się w złość.

– Czyli to TY? O. MÓJ. No nie wierzę, naprawdę NIE. WIERZĘ. Dlaczego miałbyś się szczypać przez całą lekcję?!

– Ehh... w imię nauki? – powiedział cicho i niepewnie Kudłacz, nie chcąc kolejnego wybuchu Mattiego.

– Gównu nie nauka, wiesz, jak to boli?! I jeszcze to całe świece? No po prostu nie wierzę. Wiedziałem, że ta bluza to będzie mój koszmar, ale nie spodziewałem się ciebie w pakiecie gratis!

– Przepraszam? – wymamrotał Kudłacz, który czuł się winny, ale jednocześnie widać było po nim, jak bardzo podekscytowany jest swoim odkryciem.

Mattie zaczął już powoli odchodzić, wykrzykując przez ramię:

– Więcej tak nie rób! I odwal się!

Kudłacz pobiegł za nim, doganiając go w trzech krokach.

– A mogę cię odprowadzić tylko do szatni i sobie pogadamy? Proszę?

– Dzięki, dojdę sam.

– Okej, a jesteś Mattie?

– Tak.

– A wiesz, jak ja się nazywam?

– Nie – Mattie lekko się zamieszał, że po dwóch latach w jednej klasie nie pamięta imienia Kudłacza, ale nic nie powiedział.

– Acha, jestem Orson. – Uśmiechnął się Kudłacz.

– Fajnie – odparł sucho Mattie.

– Noo... Ej! Poczekaj! – zawołał za chłopakiem Orson, gdy Mattie ze zgrabnością utuczonego kurczaka wskoczył w masy uczniowskie i przepląnął razem z nimi w dół schodów, niesiony falą prychnięć, morderczych lub usypiających spojrzeń i nierzadkich łokci w brzuch. Mattie był już jednak w na tyle komfortowej odległości od reportażysty, że mógł



spokojnie udawać, że go nie słyszy. Założył słuchawki dla wygody i podkreślenia dzielącego ich dystansu. W szatni szybko zarzucił płaszcz i unikając bardziej lub mniej przypadkowych kontaktów wzrokowych, poszurał do swojego przytułku w postaci jego własnego mieszkania numer 5. Za żadne karmelki nie będzie się z własnej woli socjalizował.

\*\*\*

Matthew to dziwne imię. Normalne. Szare imię dla szaraka w szarym świecie, którego szare życie było puste, a więc nawet nie szare, nie kolorowe, nie neonowe ani nawet nie pastelowe. Po prostu puste. Kolejny dzień minął, kolejne godziny, kubki herbaty, przewrócone kartki podręcznika, pokonane schody i schodki. Mattie się nie zmienił i trwał. Jak taki mleczyk między torami, ledwo trzyma się biedaczyna i nikt mu nie kibicuje, ale jakby go zobaczyli, to stwierdziliby, że piękny, pożyteczny i poszliby dalej. Są też dzieci, a nawet są dorośli, w których dziecko nie umarło. I oni przystaną, i popatrzą na mleczyk. I może nawet się zachwyca, i może nawet wezmą ze sobą do domu. Matthew dałby sobie rękę obciąć, że Orson był taką osobą.

Gość się nie odklejał, jak się uparł i zapatrzył, to po tobie. Przyczepił się do Mattiego, który od tygodnia chodził z nawijającym rzepem na plecach. Rzep trochę drapał, kłuł i przeszkadzał, ale dało się przyzwyczaić, po czasie w podświadomości została tylko czyjaś obecność, a nie upierdliwość. No to od tygodnia Mattie już nie siedział sam w ławce pod oknem. Trochę szkoda, bo mimo że było do kogo otworzyć buzię, to tylko otworzyć i nic więcej, bo tej drugiej słowotok się nie kończył.

– To co? Lubisz?

– Ale co?

– No spać. Bo wyglądasz na nieśpiącego i niewyspanego jednocześnie i nie umiem się zdecydować, czy nie śpisz po nocach i zawsze tak wyglądasz, czy po prostu się nie wyspałeś.

– A niech mnie, ty to potrafisz komplementować ludzi – odpowiedział powoli Mattie. – Nie lubię spać. Moje myśli potrafią być mroczne i obłądne w przerażający sposób – dodał ze szczytowym entuzjazmem.

– Boisz się swoich snów?

– Tak – dodał po chwili zawahania Mattie.

– Panie Linton, bardzo proszę o ciszę! – gdzieś z przodu klasy zawołał nauczyciel i piętnaście głów obróciło się w stronę świętej ławki pod oknem. Uroczo.

– Achaa... no dobra, a ile mniej więcej czasu spędzasz na śnie? – dopytywał niewzruszony Orson.

– Pięć godzin, w porywach do sześciu, jeśli powiedzie się moje cowieczorne wróżenie z fusów. Doktorze Manthano, czy według twojej psychoanalizy wszystko jest w porządku? – powiedział nieco ironicznie, ale spokojnie Mattie.

– Powinieneś spać więcej.

– Ależ oczywiście, wykorzystuję do tego średnio co drugą lekcję. Śpię wtedy średnio twardo, około 35 minut, nie chrapię. – Mattie miał nadzieję, że nie.

– Bardzo mnie nie lubisz? – spytał nieoczekiwanie Orson.

– Co? Nie. To znaczy... jesteś znośny. Tak jakby.

– Tak jakby? – Głos Orsona był niepewny.

– Ehh... Wolałbym, jakbyś nie łąził wszędzie za mną, ale tak poza tym, to chyba jesteś w porządku. – spieszył się Mattie. Nie umiał w ludzi, ale Orson wydawał się miły, nieco może zbyt entuzjastyczny i denerwujący, ale Wysysacz nie miał serca powiedzieć mu tego wprost.

– Mhm – mruknął Orson i wrócił do notatek w zeszyście.

Mattie odwrócił się w stronę szyby i zapatrzył. Za oknem lało, ciemne chmury przysłaśniały cokolwiek było za nimi, a jedyne, czego chciał Mattie, to wyjść w ten deszcz i iść na spacer.

No więc wyszedł. Gdy tylko szkolny zabiję-twoje-uszy-dzwonek zadzwonił, Mattie wziął plecak na ramię, klepnął Orsona po ramieniu, bo głupio mu było tak po prostu go zostawić, i wyszedł prosto z klasy. Założył słuchawki i zbiegł po schodach do szatni, założył płaszcz i wyszedł ze szkoły. Zgarnął po drodze parę niechętnych lub zdziwionych spojrzeń od ludzi, którzy ponoć są z jego klasy. Rzecz w tym, żeby się nie przejmować. Wychodzenie między lekcjami jest jak jedzenie chipsów w kościele. Wszyscy w klasie na ciebie krzywo patrzą, ale też by chcieli.

\*\*\*

~ORSON~

Mattie wyszedł z klasy, wbrew swoim słowom dając Orsonowi znać klepieniem po ramieniu, żeby szedł za nim. No więc Orson poszedł, no bo co miał zrobić? Zostawić przyjaciela tak w deszczu? Bo zdawało się, że Mattie wyszedł z budynku. No to Orson wstał, przeprosił nauczyciela, ale niestety coś mu wypadło i czy może pilnie opuścić resztę lekcji, na co wychowawca tylko kiwnął głową, trzy razy podkreślił, żeby jego rodzice mu usprawiedliwili nieobecność i machnął ręką, więc Orson wyszedł. Zbiegł do szatni, zabrał kurtkę i parasol i wcisnął kalosze na nogi, które trzymał w szafce na wszelki wypadek. Wybiegł na dwór, przystając tylko, by rozłożyć granatowy parasol w żółte kropki, i pobiegł, wołając za Mattiem.

Dopiero po chwili Orson przypomniał sobie trzy ważne rzeczy:

Jeden — nie ma pojęcia, gdzie poszedł Mattie.

Dwa — Mattie ma założone słuchawki, więc nie ma szans, że go usłyszy.

Trzy — w sumie to nie wie, dokąd idzie, nawet jeśli znajdzie Mattiego.

Pierwszy problem dało się łatwo rozwiązać – jeśli Mattie nie lubuje się w śmietnikach szkolnych i niewielkim monopolowym, to nie ma sensu skręcać w prawo. No więc droga w lewo, proste. Teraz problem drugi – Orson po prostu musi dogonić Mattiego. Nic trudnego. Trzeci problem zaś, no ten wymaga dłuższego zastanowienia, na które Orson nie miał czasu, biegnąc ulicami miasteczka.

\*\*\*

~MATTHEW~

Mattie szedł chodnikiem, a właściwie to bardziej płynął. Był pewien, że woda zajmuje w tej chwili więcej miejsca w trampkach niż jego własna stopa. Znamię na jego ramieniu zapulsowało, a przez jego ciało przeszedł promyk bólu, który sprawił napięcie się wszystkich jego mięśni i zatrzymanie na środku zalewającego się hektolitrami wody chodnika. Uroczo. Jego płaszcz był już przemoknięty, ale nie przeszkadzało mu to w owinięciu się nim ciaśniej, spuszczeniu głowy i pomaszerowaniu dalej. Po drodze, w trosce o dobro wyższe, jakim były słuchawki, schował je do plecaka, żeby ten fenomen technologii, jego zbawienie, nie przemokło. Deszcz uderzający wszystko dookoła, auta śmigające przez kałuże, krople wody uderzające w jego okulary, trampki z każdym krokiem chlupiące coraz głośniej, szum wiatru lecącego, jakby się mogło zdawać, z każdej strony w każdą stronę, targający jego włosy raz

na jeden bok, raz na drugi, jakby nie mógł się zdecydować – to była wystarczająca paleta dźwięków dla Mattiego. Choć było lekko po czternastej, ciemne chmury przykryły niebo i panował delikatny mrok. Chłopak nie narzekał.

W pewnym momencie Mattie mógł przysiąc, że słyszy głosy, a jeśli nie był już doszczętnie zwariowany, to wołały jego imię i nie były jego. Obrócił się na boki, a potem za siebie, ale jedyne, co zdołał zauważyć, to własne przemoczone włosy klejące mu się do oczu i ścianę wody uderzającą w jego twarz. Brnął więc dalej przed siebie, dopóki te głosy nie zaczęły się wydawać wyraźniejsze. Wtedy był już w stanie stwierdzić, że jest to pojedynczy głos. Obrócił się i zobaczył jakąś figurę walczącą z przeciwnościami losu. Nie był pewien, co wiatr i deszcz zdmuchnie pierwsze – osobę, która bardzo oczywiście była Orsonem, czy ten biedny poszarpany parasol.

– Po co za mną polazłeś, idioto jeden?! – zawtórował wyjącemu wiatrowi Mattie.

– Cooo?? – odkrzyknął Orson.

– No po cholere za mną lazłeś! Chciałem przejść się sam na spacer!

– To przejdziemy się razem!

– Z jakiej racji przepraszam bardzo?! Poza tym idę do mieszkania. I trochę to zajmie. Wracaj na lekcje, zanim przemokniesz! – zakrzyczał po raz kolejny Mattie, patrząc, jak Orson całkowicie poddaje się i składa poturbowany parasol.

– A nie możemy pójść razem? – zamarudził Orson. – Już i tak jestem cały mokry. A teraz, przez ciebie, mokniemy jeszcze bardziej!

Zanim Mattie zdążył dostać z oburzenia konwulsji, jego ciało przeszła kolejna niteczka bólu, ciągnąca się od jego małego palca do ramienia po przeciwnej stronie. Znamię zapulsowało i ból ustał. Wysysacz otworzył oczy, które instynktownie wcześniej zamknął, stając prawie twarzą w twarz z napastnikiem, Orsonem. Spróbował zamrużyć, co zostało jednak skutecznie utrudnione przez deszcz, odwrócił się na pięcie i poszedł dalej przed siebie, za Orsonem, który bezprecedensowo ominął go, walcząc ze ścianą deszczu i powoli brnąc przed siebie. Pomarudził pod nosem, ale powłóczę nogami, dogonił Orsona, ciągnąc go lekko za przemoczony rękaw i wskazując kierunek, w którym było jego mieszkanie. Może i jego serce było pełne bólu, cierpiące i dość apatyczne, wbrew temu, co można by sobie pomyśleć o człowieku, który ratuje ludzi przed boleściami, ale nie pozwolił temu nieudacznikowi szlajać się w ulewie po ciemnych ulicach.

Powlekli się więc do mieszkania Mattiego, chlupiąc głośniejsz z każdym krokiem w coraz to większą kałużę. Co mniej więcej trzecią kałużę Orsona wzywało powołanie i wskakiwał w plamy deszczówki cieknącej wszędzie, rozbryzgując dookoła siebie, w tym na poszkodowanego Mattiego, błoto. W takim stanie, w którym był Mattie w tej chwili, mało go już to obchodziło, więc raz czy dwa również, prawie niezauważalnie, uderzył mocniej w kałużę. Ale tylko trochę. I nikt nie musi o tym pamiętać.

\*\*\*

– Witamy – mruknął naburmuszony Mattie posapując po wspinaczkę schodowej i pchnął drzwi do mieszkania.

– Wow, ale super!! – wykrzyknął Orson i wpadł do środka.

– Błagam, zdejmij przynajmniej buty, zanim wypatroszysz mi mieszkanie! – zawołał za nim Mattie. Orson stanął jak wryty jedną nogą już w salonie. Posłusznie ściągnął kalosze i popatrzył wyczekująco na Mattiego. Oboje byli przemoczeni do suchej nitki, mimo że zostawili wierzchnie ubrania w wielkim koszu w korytarzu.

–No co się gapisz? – burknął Mattie, z intensywnością wpatrując się w swoje palce rozwiązujące klejące się sznurówki jego butów. Gdyby to była praca, Mattie wpatrywałby się w sznurówki całymi dniami, z powołania. Westchnął. Raz. Dwa. Popatrzył z ukosa na Orsona, który dalej wlepił w niego wzrok. – No jak tak cię fascynuje podstawowa budowa i wyposażenie mieszkania, to idź. – Rzucił niby lekceważąco i łypnął na Orsona, co zrobi. Ten prawie jak uskrzydłony podskoczył z podekscytowania i popędził w głąb pokoju.

– Dlaczego telewizor leży na podłodze? Ukradli ci jakąś szafkę czy coś? – zapytał zrezygnowanego Mattiego Orson.

– Dominacja gatunkowa. Szczyt łańcucha pokarmowego. Przewaga gatunku w ekosystemie. Nie rozumiałbyś – odpowiedział Mattie, stojąc jedną nogą już poza salonem. Orson patrzył na niego, jakby wyrósł mu ogon i skrzydła. – No tak, bo twoje wyjaśnienie tej zagadki jest właśnie najbardziej prawdopodobne – wytknął Mattie, nie rozjaśniając zamglonym umysłem, o co mu chodziło wcześniej.

– Aaacha... Okej. Masz Netflixa?

– Tak?

– No i gites, ja sobie coś obejrzę, ty idź spać. Jak coś, to tu będę, żeby cię obronić. – Orson uśmiechnął się pokrzepiająco w stronę zdębiałego Mattiego. Uwaga ja-cię-obronię-Orsona została jednak w mgnieniu oka odwrócona, gdy na szafce z niezwykle mizerną kolekcją książek poruszyło się jakieś stworzenie i zasyczało. Mattie z kolei w przerażeniu wpatrywał się w podłogę zalewaną przez mokrego Orsona, a potem ze zrezygnowaniem popatrzył, co go tak zaciekawiło. Znając go (trochę ponad tydzień, ale jednak), mógł się rozproszyć wszystkim mieszczącym się w randze od włamującej się przez okno małpy do jakiegoś krzesła w widocznej z salonu części kuchni.

– Na spokojnie, koczurze! – wykrzyknął niespodziewanie Orson.

Oślupiały Mattie wreszcie jakby otrząsnął się z transu i podszedł do czarnego kota w białe plamki przy uszach, biorąc go na rękę. Zwierzę było jednak wyraźnie niezainteresowane pieszczotami swojego gbura i zeskoczyło. Dając nura w niezbadane przestrzenie i wymiary mieszkania numer 5, zniknęło obu chłopakom z oczu.

– Szczerbatek – powiedział nieco tępo Mattie. – To znaczy, tak się nazywa.

– O! To tak jak w tym filmie!

– Tak, to tak jak w tym filmie...

– Dobra, bo ty mnie zagadujesz. Już ja znam te nieczyste triki! Idź spać.

– Skąd ten pomysł tak w ogóle? Że idę spać? – zastanowił się ironicznie Mattie. – Jest dosłownie szesnasta.

– No racja. Możesz też obejrzeć ze mną film. A potem pójdziesz spać.

– Dobrze, *tafo*. Nie wiem też czy zdajesz sobie sprawę, że ten salon to moja sypialnia – mruknął pod nosem Mattie, ale usadowił się przy stoliku kawowym, zachowując bezpieczny dystans od plamy zalegającej wokół Orsona i jego pewnie teraz też.

\*\*\*

Jakoś w połowie filmu chłopak spał, posapując nieco. Mattie wstał więc, sam niezainteresowany telewizorem, i poszedł posprzątać bagno, jakie zalegało od godziny na prawie każdej części podłogi. Orson najwidoczniej miał bardzo przyjemne sny, bo przy takiej odległości Mattie Wyszałby każdy najmniejszy koszmarek. Zresztą w ciągu dnia Wysysał jedynie te bieżące, mniejsze bóle i bóliki. Te duże, egzystencjalne, przemoc, koszmary,

katastrofy i tym podobne Wysysał wszystkie na raz, dopiero w noc Wysysania. Która była dzisiaj. Jak tylko się położy, czyli za jakieś sześć lub siedem godzin. Czarująco.

Orson dalej okupował plamę błota i wody przed telewizorem, leżąc w pół na stoliku kawowym, a w pół na podłodze. Mattie podszedł i zanim wytarł podłogę wokół Orsona, szturchnął go. Ten ledwo otworzył oczy, podniósł głowę, wymamrotał coś i położył ją z powrotem.

– Ej, serio, wstawaj. Jest po siedemnastej, a ja muszę tu posprzątać. – Szturchnął śpiącego chłopca Mattie, jednocześnie próbując nie wdepnąć w plamę wciąż zalegającą na podłodze. Na informację, która jest już godzina, Orson nieco się ożywił i wyciągnął telefon.

– Kurde, muszę napisać tylko do rodziców, pewnie się martwią, gdzie jestem. Masz może coś na zmianę, w co mógłbym się przebrać? – spytał, już bardziej przytomny. Mattie miał, więc podał zaspanemu chłopakowi spodnie i brązową bluzę, i wskazał mu, dość oczywistą, drogę do łazienki. Orson postękał, ale wstał i pogramolił się we wskazanym kierunku, ciągnąc za sobą smugę rozcieńzonego błota i trzymając kurczowo w rękach świeże ubrania. W tym czasie Mattie posprzątał w salonie i poszedł do niewielkiej kuchni. Wkładając kromkę chleba do tosterka, usłyszał zamykanie drzwi łazienki i dźwięk pstryczka, a potem kroki na korytarzu, więc włożył do tosterka też drugą kromkę dla Orsona.

– Rodzice mówią, że mogę zostać – oznajmił bezceremonialnie chłopak, po czym przysunął sobie krzesło bliżej blatu, skrzypiąc potwornie po podłodze. Mattie poczuł przeraźliwe klucie w uszach, wzmożone, bo podwójne. Westchnął.

– Co? – zapytał nieco bezsensownie przed siebie. – Dlaczego? Co? Jak to? – po przetrwaniu informacji nagle oprzytomniał.

– No... to znaczy, jeśli się zgodzisz. Zgodzisz się?

–Eee – odpowiedział elokwentnie Mattie. – Nie mam dodatkowego pokoju, tylko salon. – To było kłamstwo, miał też mały pokoik, z którego korzystały chyba tylko kurz i owady. Widać czas go lekko posprzątać. – I mam dzisiaj coś ważnego do załatwienia, natomiast... – nie zdążył dokończyć, bo wyraźnie podekscytowany Orson z błyskiem w oczach prawie podskoczył na własnym siedzeniu i zakrzyknął trzy oktawy wyżej niż zwykle, strasząc chyba wszystkie organizmy żywe znajdujące się w promieniu pięciu kilometrów.

– Ojej, ty dzisiaj Wysysasz?!

– Tak, ale błagam, mów ciszej – mruknął Mattie.

–Naprawdę?? Muszę to zobaczyć!! Mogę? Proszę. Błagam. Nie będę ci przeszkadzać na lekcjach? O! Nie będę ci przeszkadzać, jak śpisz? – Mattie patrzył z ukosa

na Orsona zmęczonym wzrokiem – Nawet na lekcjach! – przysiągł Orson, a Wysysacz miał dość, więc się zgodził. Ale tylko ten jeden raz, poza tym chłopak ma siedzieć całą noc w pokoju i z niego nie wychodzić.

Tak więc Mattie zajął swoje miejsce na swojej rozkładanej kanapie, lokując Orsona w małym pokoiku obok salonu, który zazwyczaj służył jako graciarnia. Jego bateria socjalna była poniżej zera i jedyne, czego chciał, to odciąć się od świata i iść spać. No więc poszedł, licząc w duchu, a także na głos, na to, by Orson spokojnie się położył i nie wychodził z pokoju.

\*\*\*

Tym razem chłopak nie spada. Wręcz przeciwnie, unosi się. Wokół jest cicho, jedynie gdzieś w tle słychać przytłumione stukanie. Coś ryczy. Stukanie z każdą mijającą sekundą staje się coraz głośniejsze i głośniejsze, aż zaczyna boleć. I potem boli i stuka, w uszach piszczy, a Wysysacz nie czuje, jak boli, całkiem odrętwiały. I leci gdzieś, słyszy ryki wszędzie, a serce mu się trzęsie i drży i skacze. Strach ogarnia całe jego ciało, przytłumiając ból, kręci mu się w głowie. Znowu cisza i delikatne stukanie zakłócające ją. Nagle spokój zakłóca piskliwy, skrzypiący, przerażający krzyk, szarpanie, ciągną go w jedną, w drugą stronę, za nogi, za szyję i go duszą, ale chłopak nie wie, kto i czemu. Wydaje się, że tak szarpie dziesięć minut, a tak naprawdę pewnie godzinę lub dwie. Wszystko kłuje, bije, Mattie ma siniaki, choć pewnie nie, tylko mu się wydaje. Unosi się i leci, aż nagle spada i zapada się, głęboko, głęboko, coś wbija mu się w oczy, w brzuch, trzyma go za ręce, krztusi go i poddusza.

\*\*\*

Mattie obudził się zgrzany, z potwornym bólem głowy o 3.27. W głębi mieszkania pewnie już czekał Chłopczyk z Nieszczęściami. Wstał niepewnie, założył okulary i wyszedł chwiejnie z pokoju, powłócząc nogami. I rzeczywiście, na końcu korytarza, przed kuchnią, stał Chłopczyk, ale nie był sam. Szcherbatek okręcał się wokół jego nogi, ale ten nie reagował, bo przecież jest tylko duszą, duszkiem. Nie istnieje, nie widzi, nie czuje. Jedynie przekazuje. Kot go czuje, bo koty już tak mają.

Na lewo od kuchni drzwi otworzyły się i wyjrzał przez nie Orson. Łypnął rozespanym okiem na Mattiego, który siedział już w swoim zwyczajnym miejscu, po turecku na krześle, półprzytomny, ze szklanką wody w ręce i przekrzywionymi okularami na nosie. Poślaniec jednak już zaczął unosić swoje niewielkie, chude rączki, więc także i Mattie zsunął okulary i skupił się na Chłopczyku, ignorując Orsona, wciąż ciekawsko spoglądającego w jego stronę.



–Dobrze się czujesz? – wykrakał cicho Orson rozespanym głosem. Mattie rzucił mu tylko ostre, ostrzegawcze spojrzenie i lekko pokręcił głową, która zaczęła jednak od tego ruchu jeszcze bardziej boleć. Mattie skupił więc się znowu na Pośłańcu, wpatrującemu się w niego zdystansowanymi, prawie pustymi oczkami. Po chwili poczuł, jak jego myśli przepływają, jak jego uczucia mieszają się i Wysysają wszystkie inne, bolesne. Przycisnął palce do skroni jeszcze bardziej, imitując postawę Chłopczyka. I znów stali przed sobą, a tak naprawdę mała figurka, chucherko, stała w za dużej koszulce i za małym dresie, a naprzeciwko kuliła się większa postać, wypuszczająca głośno powietrze. Tym razem jednak w niewielkiej odległości stał i gapił się Orson. Poślaniec popatrzył łagodnie na nieświadomego, stojącego w wejściu do pokoju intruza, kiwnął głową i zniknął. Orson podszedł delikatnie do Mattiego i położył rękę na jego plecach.

– Hej, jak się czujesz?

– Jakby przejechał mnie tir, dzięki, że pytasz – skrzeknął niezbyt miło Mattie. – Sorry. Źle.

– Mhm... Idziesz jeszcze spać?

– Nie.

– Na pewno? Masz jeszcze... – Orson spojrzął przelotnie na zegar tykający nad wejściem do kuchni i zamyślił się chwilę – prawie trzy godziny snu. Idź spać. – Odsunął się i nalał więcej wody do szklanki, z której wyciskał wcześniej ostatnie soki Mattie.

– Nie, dzięki. Wolę tu posiedzieć chwilę. Ty idź spać, jesteś gościem, nie? Lepiej, żebyś już poszedł. Mówiłem ci, żebyś nie wychodził z pokoju. Pogadamy jutro. Idź już spać, proszę. – wymruczał Mattie, cicho, cichutko, bo głowa mu pękała i nie miał nawet siły się teraz denerwować.

– Tak, masz rację. Przepraszam, ja po prostu chciałem zobaczyć jak Wysysasz... Teraz Wysysałeś, co nie? – Orson się zawahał.

– No, częściowo można by tak powiedzieć.

– Aha. No chyba nie chcę już więcej widzieć, bo ciebie to boli.

– Boli.

– Idę spać. Idziesz też?

– Już ci powiedziałem, nie. Ale dzięki, miło, że pytasz – mruknął jeszcze ciszej Mattie. Emocje. Eh.

– Jasne. Dobranoc.

– No, ujdzie. Przyjemnych snów.

Mattie, nie podnosząc dalej głowy z nad jego kolan podsuniętych pod brzuch, sięgnął po okulary, gdy usłyszał szuranie Orsona do jego pokoju. Sam powlókł się z powrotem do salonu.

\*\*\*

Gdy po 7 rano ubrany już Orson wyszedł z pokoju, Mattie dopiero przecierał niewyspane oczy, których prawie nie zmrużył. Zagadując pogodnie, ale delikatnie i z dystansem Mattiego, chłopak zaciągnął ich do kuchni, a potem, gnając po schodach, jakby się paliło, na dwór. Na zewnątrz było dość orzeźwiająco, nie za zimno, nie za ciepło. Szli powoli, po cichu w stronę szkoły, Mattie, starając się omijać pozostałości po wczorajszej ulewie, a Orson (dalej w kaloszach) wciąż w nie wchodził. Wreszcie, pierwszy raz odkąd wstali, Orson zagadnął o noc.

– Wczoraj Wysysałeś.

– Pytasz czy stwierdzasz?

– Zadaję pytanie retoryczne – odpowiedział chłopak, a Mattie lekko się uśmiechnął.

– Bardzo mądrze – stwierdził Mattie, zadowolony z faktu, że chyba odwrócił już uwagę Orsona od tematu.

– Ej, ja wiem, że... no, ja nie wiem, jak to jest, jak to boli i tak dalej, ale... Jak chcesz, to możesz mi pomarudzić. Ja posłucham, jak chcesz. – To zbiło nieco Mattiego z tropu i nie wiedział, co odpowiedzieć, więc prawie całą drogę szliby już w ciszy, gdyby Orson nie zagadywał cicho, wciąż nie uzyskując odpowiedzi na żadne z zadanych pytań.

Gdy wchodzili już do szkoły, Mattie ściągnął z szyi słuchawki i założył je powoli, sugerując, że chce już być sam. Ruszył też nieco szybszym krokiem, jednak potem zrobiło mu się głupio, więc zwolnił. Klepnął lekko Orsona po ramieniu, który już się czymś rozkojarzył.

– Fajnie, że byłeś – wydukał Mattie. Odczekał chwilę. – Dzięki.

– Nie ma problemu!

– Ee, no tak.

Ruszyli więc w stronę szatni, Mattie z przodu, Orson dwa kroki za nim. Tym razem ten drugi postukał go w ramię.

– Hm?

– Wiesz, będzie lepiej.

– Ta, każdy tak mówi, ale dzięki.

– Teraz masz mnie. – Orson się uśmiechnął. – Więc już jest lepiej.

Mattie odwrócił się i spojrzał z ukosa na Kudłacza.

– No powiedzmy. Tylko się nie szczyp, to może i będzie lepiej – zauważył, bardzo niecharakterystycznie dla niego, z humorem, Mattie.

– Tak jest, przysięgam na honor skauta, że już nie będę!

– Jesteś w ogóle harcerzem?

– Byłem, jak miałem całe sześć lat. Dobre czasy.

– Aha, no to rzeczywiście porządna przysięga – zakpił Mattie.

– A żebyś wiedział! – Orson spojrzał na telefon, potem na Mattiego z wytrzeszczonymi oczami. – O nie, spóźniliśmy się na fizykę – powiedział z żalem.

– Rzeczywiście. Straszne.

Mattie założył już całkiem słuchawki, ale Orson znów go poklepał, więc Wysysacz stęknął i popatrzył na niego zmęczonym wzrokiem.

– Serio, będzie dobrze. Patrz, spóźniliśmy się. Razem, pierwszy stopień przyjaźni. I nawet nic się nie stało – zauważył Orson.

– Niesamowite, nie spłonęliśmy na dziewiątym piętrze piekła, zdrajcy narodów.

– Będzie dobrze – powtórzył uparcie Orson. Ewidentnie lubił sobie i innym to powtarzać.

– A może i będzie – przytaknął Mattie, założył słuchawki, ale zostawił jedno ucho odkryte i łypnął na Orsona. – Idziesz, czy dopełniasz zbrodni i się urywasz?

– Oczywiście, że idę – oburzył się Orson, zadowolony jednak, że Mattie wreszcie się zgodził z jego hasłem tygodnia.

No więc poszli. I Mattiego dalej bolało, ale trochę mniej. Oczywiście, Wysysacz dalej jest sam, musi być. Przynajmniej nie przyzna, że może jest inaczej. A nawet jeśli przyzna, to nikt nie musi o tym wiedzieć.

Nawet Orson.

Nawet on sam.

Może tylko Szczerbatek się o tym dowie, a Mattie uda, że nie wie. Bo o czym? Już zapomniał, przełknął, poszło. Nie ma. I już jest lepiej.

I dobranoc.